

1931/1932

Rok VIII.

Grudzień—Styczeń—Luty—Marzec

Nr. 5.

MŁODA MYŚL

Pismo Uczniowskiego Stowarzyszenia Spółdzielczego
„Bratnia Pomoc” przy Państwowych Seminarjach
Nauczycielskich w Białymstoku

Cena prenumeraty: Rocznie 3 zł. 60 gr., półrocznie 2 zł., kwartalnie 1 zł. 20 gr.
Cena numeru w miejscu 40 gr., z przesyłką 50 gr.

TREŚĆ NUMERU:

- | | |
|--------------------------------------|-----------------------|
| 1. Od Redacji. | |
| 2. Koleżanki i koledzy! | P. Popławski—redaktor |
| 3. " " " " | Redakcja |
| 4. Spowiedź redaktora. | — — — — |
| 5. Osobliwości wigilijne | Br. Rogalski |
| 6. Zima | J. D. III m. |
| 7. Ze wsi | Emil Radziszewski. |
| 8. Poranek w internacie | J. K. IV m. |
| 9. Więcej optymizmu | Ek. Owicz. |
| 10. Sanna | I. D. III m. |
| 11. Z moich wspomnień przyrodniczych | Sławicz |
| 12. Choinka | Marja Jurewiczówna |
| 13. Tematy artykułów do pisemka | Redakcja |

Adres Redakcji i Administracji:

„Młoda Myśl” Państwowe Seminarjum Nauczycielskie w Białymstoku, No tel. 36.

Redaktor odpowiedzialny: **M. Czujajewska.**

Redaktor: **P. Popławski.**

Wiceredaktor: **St. Redźkówna.**

MŁODA MYŚL

Pismo Uczniowskiego Stowarzyszenia Spółdzielczego „Bratnia Pomoc” przy Państwowych Seminarjach Naucz. w Białymstoku

Od Redakcji.

Ten numer „Młodej Myśli” ukazuje się jeszcze w starej formie, a to z tego względu, że chcemy tu poruszyć wiele spraw związanych z reorganizacją pisemka.

Najpierw będziemy zmierzać do ożywienia i wzmocnienia naszej publicznej opinii, gdyż stoimy na stanowisku, że nieodzownym warunkiem żywotności danego społecznego jest wrażliwość jego społecznej opinii.

Redakcja.

Koleżanki i Koledzy!

Coraz wyraźniej daje się zauważyć, że pisemko w naszej szkole w miarę czasu traci na swej aktualności, staje się przeżytkiem. Spostrzeżenie to, słuszne bodajże w całej rozciągłości, że udział koleżanek i kolegów w wydawaniu pisemka był naogół minimalny — jest faktem. Nie wiem, co może tłumaczyć naszą ospałość w tak ważnej sprawie — chyba że skromność aż fałszywa, bo coś innego — przecież, jak nas o tem zapewniały na raucie, szczególnie niektóre koleżanki V kursu, jesteśmy młodzieżą z ideałami, je-

steśmy młodymi patriotami, kochamy swoją ojczyznę, chcemy dla niej poświęcić swe życie; każdą rocznicę przeżywamy aż tak głęboko, że tych przeżyć nie możemy uwiecznić nawet w skromnym artykuliku, gdyż tak szybko spadają na dno duszy, że już na drugi dzień nic o nich nie wiemy. Widocznie nie dorośliśmy do tego, by móc z właściwej strony spojrzeć na piśmko.

W pogoni za poziomymi wrażeniami uprawiamy duchowy wandalizm, hołdując dyktaturze niskich popędów.

Nasze piśmko to warsztat, przy którym możemy rozwijać uzdolnienia pierwszej wagi. Wartość piśmka trzeba mierzyć przede wszystkim sumiennym udziałem członków w jego wydawaniu. Żąda się więc od wszystkich czynnego ustosunkowania się do Młodej Myśli. Żywiołowy udział koleżanek i kolegów, w redagowaniu naszej gazetki jest nieodzownym warunkiem podniesienia się ilościowej wartości piśmka, jest on zarazem kardynalnym nieodzownym warunkiem robienia odpowiednich postępów.

Solidny udział w naszej pracy publicystycznej rozwija takie uzdolnienia, jak umiejętność referowania kwestyj, orientacja w aktualności zagadnień, spryt w obserwowaniu zjawisk społecznych i wysnuwanie z nich pewnych wniosków, umiejętność trafnego zabierania głosu w sprawach i wreszcie umiejętność rzeczowego prowadzenia sporów. Na łamach piśmka mogą się ścierać różne poglądy, opinie i zapatrywania. Całe społeczeństwo może brać żywy udział w urabianiu przekonań, może ono oczyma jednostek spojrzeć krytycznie na siebie. Przez prowadzenie dyskusyj zaostriamo swój zmysł krytyczny, nauczymy się ściśle obserwować, oględnie i głęboko myśleć. Piśmko powinno być dla nas żywym torem, ześrodkowującym nasze myśli, powinno być polem walki o postęp moralny, o coraz wyższe zdobycze, powinno być polem szlachetnej i sumiennej walki poglądów. „Młoda Myśl” powinna odegrać dla nas rolę instruktora do czynnej pracy zawodowej. Żąda się więc szlachetnych odruchów zrozumienia szczytnej misji piśmka w naszym społeczeństwie! Tylko ten, kto otwarcie chce manifestować swoją niemoc i brak wyższych tendencji, może uchylać się od czynnego udziału w pracy nad piśmkiem.

Na piśmko trzeba też patrzeć, jako na łącznik pomiędzy szerszymi masami młodzieży. Nasz udział w pracy

publicznej idealnie pojętej może uchodzić za główny czynnik kształcząco-wychowawczy. Każdy walor piśmka może w całej pełni zajaśnieć z chwilą, kiedy my okażemy dostateczną dojrzałość umysłową i kiedy pokażemy, że na usługach naszych myśli i chęci mamy własną wolę... Na postępowanie ludzi mimo wszystko musimy patrzeć jednak przez szkła dość silnie zabarwione poglądem deterministycznym. Trzeba przyjąć, że ojcem faktów są przyczyny. Zjawisko, że naogół czynne zainteresowanie w stosunku do naszego piśmka coraz się osłabia — musi też mieć jakieś powody. Trzeba je zbadać. Apeluję więc do wszystkich, aby przyszli z pomocą gabinetowi redakcyjnemu w jego podstawowej pracy nad ustaleniem przyczyn obecnego stanu rzeczy „Młodej Myśli” i naszego stosunku do niej. Pomoc będzie polegała na sumiennym i szczerem opracowaniu odpowiedzi na pytania, rzucone wszystkim w formie ankiety.

W interesie ogółu wszyscy bez wyjątku powinni na te pytania dać solidną odpowiedź. Proces poznawania przyczyn uważam za najzbawienniejszy i najzdrowszy sposób dążenia do pomyślnych rezultatów w odniesieniu do warunków egzystencji rozwoju i misji naszego piśmka. Przede wszystkim jednostki czołowe, zainteresowane we wspomnianej sprawie z urzędu, powinny dołożyć starań i jak najsumienniejszej pracy w kwestji tego podstawowego zagadnienia w naszym społeczeństwie. Praca ta, ze względu na swoje znaczenie, powinna być podjęta przez przyszły gabinet z głębokim zrozumieniem i oddaniem się; nie powinna skończyć się prędzej jak za rok... Dotychczas da się naogół powiedzieć, że piśmko nasze stało bodajże na pierwszym miejscu wśród znanych mi gazetek szkolnych. Bez samochwalstwa mogę powiedzieć, że za mojego redaktorstwa wydano jedno z najcenniejszych numerów. Nierzadko pojawiały się artykuły poruszające najrozmaitsze rzeczy w sposób szczerze obmyślany i głębiej traktujący odpowiednie zagadnienia.

Bez kwesji stanowimy wielką siłę potencjalną, nie mogącą się realizować z bliżej nieznanymi przyczynami, które musimy zbadać. W rezultacie „Młoda Myśl” i my — to dwa naogół odległe światy, a w istocie nasze piśmko powinno być dla nas duchową, ustawicznie czynną kuźnię. Żąda się więc od wszystkich koleżanek i kolegów w ich własnym, wyższym interesie nie sztucznych zapałów — sło-

mianych ogni, lecz trwałych ogni energii do walki o sublimację dusz, i urzeczywistnianie podmiotowych sił naszej natury. Trzeba patrzeć, myśleć i szukać.

Post habita.

Przysła praca dotycząca sprawy pisemka.

- 1) Skrytykować dotychczasowy i ustalić idealny cel pisemka.
- 2) Ustalić ogólnie, jaki powinien być idealny numer „Młodej Myśli”.
- 3) Ustalić warunki praktyczności idealnego celu pisemka, t. j. określić te warunki, przy których idealny cel pisemka mógłby znaleźć całkowity wyraz w praktyce.
- 4) Zbadać warunki czasowe, t. j. warunki faktyczne, określić je i porównać je z warunkami idealnymi.

Droga badania warunków czasowych:

- a) przeprowadzenie odpowiednich ankiet, b) robienie celowych doświadczeń, c) gromadzenie ściśle zaobserwowanych faktów i d) wysnuwanie wniosków z wyników ankiet, celowych doświadczeń i z ściśle zaobserwowanych faktów.
- 5) Ustalić na podstawie wniosków wysnutych z wyników ankiet, celowych doświadczeń i ściśle zaobserwowanych faktów, jaka jest natura przyczyn takiego a nie innego przekroju stanu położenia faktycznego.

UWAGA! Zbyt wielkiem zaufaniem nie obdarzać wyników ankiet; większą zwrócić uwagę na doświadczenia i obserwacje.

- 6) Poszukiwać dróg praktycznych do polepszenia sytuacji pisemka, korzystając ze znajomości przyczyn faktycznego położenia i natury tych przyczyn.

- 7) Skrytykować cały powyższy plan, czyli przedstawić go w świetle praktyczności.

Pisemko, jeżeli odzwierciedla tylko życie, nie przedstawia większej wartości. POCO same odzwierciedlanie fak-

tów? czy poto, aby raz jeszcze przeżywać w innych warunkach rzeczy minione? — a to poco? — czy dlatego może, że to nam przyjemność sprawia? Za mało. Przyjemność trzeba łączyć z pożytkiem. Pisemko powinno życie odzwierciedlać, ale i krytykować je, powinno posiadać cechę pola pracy twórczej, wyrabiającej duchową energię i uczącej trzeźwo patrzeć na rzeczy, rozwijającej wysokie dyspozycje moralne, uczącej tworzyć i ucieleśniać wniosłe idee pracy społecznej.

My, młodzi, musimy rzucić przekleństwo na tych, którzy dążą do tego, aby ich naturalnem uzbrojeniem życiowem był szafot, na któryby prowadzili każdą myśl szlachetnego wysiłku, musimy rzucić przekleństwo na tych, którzy ośmielają się krzyknąć z bezczelną śmiałością, że godną ubóstwiania jest tylko zasada maximum osobistych korzyści przy zużyciu minimum energii.

P. Popławski — redaktor.

Koleżanki i Koledzy!

Informujemy wszystkich, że gabinet redakcyjny chce, aby w przyszłości pisanie artykułów do „Młodej Myśli” nie było powodowane jakimikolwiek presjami zewnętrznymi, lecz przeciwnie, chce i do tego będzie usilnie dążyć, aby pisanie artykułów było niczem innym, jak tylko zaspakajaniem silnej wewnętrznej potrzeby. Gabinet redakcyjny chce stworzyć w społeczeństwie silne potrzeby wypowiedania pewnych treści, i to stawia sobie jako pierwszy ideał.

Redakcja.

Spowiedź redaktora.

Funkcję redaktora przyjąłem z największą chęcią. Lotnych i „szerokich” rojeń o planie i schlebiających ambicji rezultatach przyszłej pracy nie mógł poskramiać brak doświadczeń i krytycyzmu. Ironiczne aluzje exwicedaktorki do mojego zapachu były dla mnie niezrozumiałe. Dałem się porwać marzycielskim skłonnościom i skończona rzecz... Zaraz na początku (kwiecień 1931 r.) powziąłem zamiar urzędzenia zjazdu redaktorów. Chcąc znaleźć punkt oparcia, postanowiłem zwrócić się z odpowiednią ankietą do kierowników pisemek młodzieży seminaryjnej. Wyniki ankiety były nieywykłe: z seminarjum żeńskiego w Marjówce otrzymałem odpowiedź na posłane pytania tak dalece powierzchnową, że żadną miarą nie mogłem do niej przywiązywać wagi, a od wicedaktora „Naszego Pisma” (organ uczniów państw. sem. naucz. w Mogielnicy) wogóle nie otrzymałem. I takie są dzieje szukania punktu oparcia dla wyżej wspomnianego projektu.

Kończyły się wakacje. Przyjechałem do szkoły w okresie niepowodzeń życiowych, silnie sparaliżowany, zaabsorbowany do odrętwienia swoim rozpaczliwym położeniem, które coraz gwałtowniej rozbudzało we mnie jakieś ponure uczucia. Dzięki szczególnie p. Dyrektorowi powoli odzyskałem część swojej naturalnej swady. Mimo wszystko jednak moje położenie zewszechmiar niepomyślnie niejednokrotnie przyprawiało mnie o tak wyczerpujące przeżycia, że czułem się po nich zupełnie pozbawionym energii, i to tak silnie, że niepodobieństwem było wzbudzić w sobie choć trochę zapachu, którego wymaga odpowiedzialne stanowisko redaktora. Z coraz wyraźniejszymi objawami nałogu zacząłem oddawać się rozmyślaniom, nierzadko skracając czas snu czy obowiązkowej pracy. Czasami całe godzinysamotności obracałem na wyczerpującą dyskusję z samym sobą. Odwróciłem się od życia — trzeba było skupić wszystkie duchowe siły, aby bez załamania przetrwać okres psychicznego wzburzenia... Sprawa pisemka została zaniedbana... Muszę się nieco cofnąć. Wkrótce po objęciu funkcji redaktora, widząc brak należytego udziału społeczeństwa w pracy nad wydawaniem gazetki, postanowiłem silnie poruszyć naszą szkolną opinię w sprawie „Młodej Myśli” — w tym celu zacząłem pisać bardzo ostre artykuły. Postawiłem so-

bie wyraźny cel wywołania „przewrotu”. Chodziło mi o uzyskanie przede wszystkim silnego punktu wyjścia, którym miało być żywiołowe poruszenie umysłów, spowodowane bezwzględnym zaatakowaniem najczulszej strony koleżanek i kolegów.

Tego pokroju artykuły, co: „Krytyka”, „Ignoruje formę — autorytetem chęć” i „Bezczelny”, były pierwszemi krokami na drodze realizacji powziętego zamiaru. Skutki tego były takie, że omal nie został spoliczkowany za śmiałość, zbyt zresztą nietaktowną, ucieleśnioną w artykule pod nagłówkiem „Bezczelny”. Spostrzegłszy się, że społeczeństwo w zbijaniu moich tendencji ma wyraźną i nieopanowaną skłonność uciekania się do argumentów natury fizycznej, zmieniłem taktykę, nietyle zresztą ze strachu ile z przekonania, że stanowczo najpierw należy poznać to, z czym się ma walczyć.

W pracy z członkami gabinetu, szczególnie zaś w pracy z członkami komisji ogólnego rozpatrywania artykułów, zawsze podkreślałem swobodę — nic też dziwnego, że nasze zebrania cechowały się zupełnym brakiem formalizmu, były one na dobre podszyte humorem, a mimo to na brak porządku narzekać nie można było...

Niejednokrotnie z rezerwą odnosiłem się do niektórych zapatrywań p. Opiekunki, dotyczących sprawy pisemka. Następstwa były takie, że zacząłem usilnie kaptować sobie członków komisji ogólnego rozpatrywania artykułów i nawoływać ich do stworzenia wspólnego frontu wobec zapatrywań redaktora odpowiedzialnego. Udawało się, ale tylko teoretycznie, bo, gdy przyszło oponować przeciwko poglądom p. Dyrektorki w jej obecności, tam nie mogłem się zdobyć na zdecydowaną śmiałość: p. Przełożona tak dalece poskramiająco wpływała na mnie (dowódcę frontu) swoją obecnością, że własną opozycję z największą otwartością głosiłem zawsze niemal dopiero po skończonem zebraniu, kiedy znalazłem się w obecności tylko koleżanek i kolegów — współpracowników.

Z tego, co wyżej powiedziałem, przyszedł gabinet winien wyciągnąć odpowiednie dla siebie wnioski...

Osobliwości wigilijne.

Już od samego rana zachodzące w naszym gmachu szkolnym wypadki nasunęły dosyć zuchwałe przypuszczenia osobom niewtajemniczonym w nasze szkolne życie. Ich domysły: że lekcji w tym tygodniu nie będzie, że młodzież do czegoś niecodziennego przygotowuje się, że to „coś” nieprędko się skończy, były najzupełniej logicznie uzasadnione. Bo czegoż innego można się było spodziewać, kiedy o zwykłej porze nie zadzwoniono na lekcje, a cisza i pustka panowały w całym gmachu? kiedy w późniejszej porze na korytarz parteru poczęto wyciągać gdzieś z kątów drabiny, sznurki, gałęzie świerkowe, zaciągać przewody pod sufitem, zaprawiać żarówki owinięte w bibułki czerwone, żółte i niebieskie? kiedy z klas wyciągnięto ławki i zaczęto je suwać po podłodze z energią godną dostojniejszych zajęć, zapelniać opustoszałe nagle wnętrza stołami, zawieszać nagle ściany wieńcami z gałązek świerkowych w tym celu uplecionych i bibułkami przemyślnie upiększonych?

Aż z biegiem czasu ustawał ruch, przygasało tempo pracy, a pracownicy wyczerpani chylkiem jęli zmykać z pod władzy przodowników, tudzież — przodowniczek i z pod oka wszechwładnej referentki (werbującej od paru już dni wciąż nowe siły do kręcenia maku) — aż wreszcie zupełnie gdzieś zniknęli.

O trzeciej po południu w szkole życie jakby zamarło. Ruch nawet na linii internat — stołówka zdawał się chwilami przygasać. Lecz około piątej ruch ten bardzo wydatnie wzmógł się przez nowy napływ tych, których poprzednio przepełniała gwałtowna chęć opuszczenia gmachu i tych, których dnia tego napróżno wyczekiwali zapracowani przodownicy, tudzież inni komisarze obarczeni ciężką odpowiedzialnością za wygląd sal.

Wkrótce zabrakło miejsca dla spacerujących na korytarzu. lecz do wnętrza klas, tym razem nad wszelki wyraz ponętnych, nikt jeszcze nie ośmielał się nawet zajrzeć. Mogły tam tylko bezkarnie przebywać niektóre koleżanki, podkreślające swą wysoką misję podczas tego wieczoru białością fartuchów, które w sprawie przedostawania się do wnętrzy tajemniczych klas miały znaczenie „listów żelaznych.”

Komunikacja tak była utrudniona, że w najbardziej zatłoczonych miejscach, koło kaloryferów, można było posuwać się tylko ruchem niedostrzegalnym.

Nastrój ducha tak był podniosły, że najbardziej nawet niespołeczne osoby nie okazywały najłżejszego cienia niechęci nawet wtedy, gdy je przypierano z całą bezwzględnością do świeżo pomalowanych kaloryferów.

Powietrze było tak mętne, że utraciło jedno ze swych cech, mianowicie: zdolność przenoszenia dźwięków. Stąd połowa nie usłyszała sygnału, granego na trąbce w czasie blisko półgodzinnym przez kolegę, którego z pewnością czytelnicy znają z produkcji potężnych, brawurowych dźwięków, wstrząsających murami szkoły podczas każdej przerwy. Stąd też, kopnięty przez kogoś aparat fotograficzny, już wymierzony wprost na choinkę, tylko dzięki temuż zgęszczonemu powietrzu nie uległ całkowitej zagładzie. W czas jednak żądano jeszcze wolno chylący się ku ziemi pochwycić.

Dla dopełnienia całości obrazu nadmienię to jeszcze, że owe przechadzające się szeregi pozostawały pod urokiem czarujących blasków dwu reflektorów, jako też pod długą linią małych, barwnych lampek, których miękkie soczyste barwy efektownie zlewające się w głębi ściągaly na siebie uwagę widzów, wprowadzając ich tem w stan błogiego rozmarzenia.

Ten błogi stan ducha przerwały przodowniczkki, powiadamiając, że nadeszła chwila wolnego wstępu do klas. Ta wiadomość została łaskawie przyjęta do wiadomości, wobec czego skwapliwie przystąpiono do składania sobie życzeń, Wiadomo, jakie nastroje towarzyszą podobnym czynnościom. Radość szczerą i bezmierną nie odstępowała uczestników ani na chwilę.

Potem do stołów zasiedli z wolna wszyscy, gdyż to jest jedna czynność, którą wykonujemy punktualnie.

Każdy znalazł swoje najmilsze zajęcie: koleżanki w białych fartuchach usługiwały zgrabnie; inne dyskretnie trenowały wyidealizowane plotkarstwo, puszczając w obieg nagromadzone nowinki, podpatrzone gesty lub podsłuchane frazesy; internści całą swoją uwagę i energję skierowali na najaktualniejszą czynność, czem okazali swe praktyczne ustosunkowanie się do życia, drażniąc tem jednocześnie troskliwie, przewidujące gospodynie; kolega prezes, jako

człek stateczny, wprawnie połykał pokarm, wygłaszając co pewien czas w przerwach między jednym daniem a drugim mądre prelekcje o spółdzielczości. Treści tych dostojnych epistoł przytaczać tu niepodobna, może wystarczy, jeżeli krótkie wyciągi z nich podam w postaci wyrazów: niejako, regulamin nie przewiduje, właśnie że, poniekąd, w tym wypadku, więc tak że, ponieważ, zdaje mi się, artykuł regulaminu i t. d.,...

Reszta uczujących, również nie mniej ostrzelana z podobnymi czynnościami, do celu szła także wielkim krokiem.

Zrealizowanie dalszego punktu programu wymagało znalezienia się odnośnych osób w auli.

Tu najpierwszem i najsilniejszym wrażeniem był uderzający brak miejsca. Następnie szczególnie trudną okazała się sprawa zajęcia odpowiedniego stanowiska względem aktorów.

Ponieważ każdy kurs swoją „niespodziewankę” w innym wystawiał miejscu, stąd ruch obrotowy jednostek skupionych nabrał pierwszoplanowego znaczenia. Wesoly nastrój jaki wnet napełnił zatłoczoną salę nie należy przypisywać wyłącznie zaktualizowanym kolędom trzeciego kursu żeńskiego, gdyż inny był jeszcze do tego powód: zamieszanie towarzyszące podczas przeprowadzania jednej z podstawowych form grzeczności, jaką jest zwyczaj stania twarzą do swego bliźniego, gdy ten się wypowiada.

Zresztą dowcipne to były kolędy. Nietylko miały na celu wyśmianie niezdolności kolegów do tańca, co mówiąc nawiasem było czemś bardzo śmiałym, ale i wykazywały też ciekawą cechę swych autorek: niezwykłą umiejętność wykorzystywania trafnego dowcipu.

W dalszym toku naszej wigilji zaszło coś takiego, co wszystkich nas z podniebnego nastroju, jednym zamachem strąciło w przeraźliwie gorzki smutek, o czym dziś jeszcze bez żalu niepodobna wspomnieć. A było to zarządzenie p. Dyrektora w taką oto formę dające się ująć: „To, co was napawało szczęściem niezwłocznie należy przerwać z przyczyn ściśle związanych z lekcjami jutrzejszemi”.

Czyżby to miał być wymowny przykład tego, jak się kończą wszystkie miłe rzeczy?

Br. Rogalski.

Zima.

W pancerzu twardym zakute rzeki,
Ziemia zasłana puszystą bielą
I jak szeroki świat i daleki
Srebrzyste płatki śniegu się ścielą.

Nawet gałązki drzew nagie, czarne
I takie smutne po stracie liści,
Pokryły białe płatki figlarne
Ciężarem cudnych, srebrnych okiści.

A wszędzie taka cisza senliwa,
Że zda się całkiem zamarło życie,
Aż w uszach dzwoni krew, co przyplywa
I serca nawet słyszymy bicie.

Czasami tylko wrony wrzaskliwe
Ciszę zamacą skrzydeł łopotem —
I znów opadną na martwą niwę,
Śniegiem pokrytą, falistym lotem.

J. D. III m.

Ze wsi.

W odległości mniej więcej półtorej godziny jazdy rowerem od Białegostoku leży wioseczka.

Położenie ma bardzo sympatyczne. Ze wszech stron wznoszą się wysokie pagórki, z poza których strzelają w górę potężne lasy, (pozostałość puszczy knyszyńskiej), odcinające wieś od większych ośrodków i nadające jej bardzo piękny charakter górski. Jedynie zachód jest odsłonięty i tworzy jakby okienko, przez które wpadają kiedy niekiedy wieści z szerokiego świata. Wieś posiada trzydzieści jeden do-

mów i składa się z dwóch ulic. Jedna się nazywa „Koszary”, druga „Woszary” (tak je nazywa młodzież wiejska).

Co do nazwisk gospodarzy, to są tam różne. Wymienię kilka: Werda, Dądziło, Piktel, Matajkowska, zaś najwięcej jest Wołowiczów, bo aż trzech: dwóch Wincentych i jeden Wiktor.

Więc widzimy, że nazwiska są rozmaite, lecz pod względem wyznania jest to ludność nawskroś katolicka i bardzo religijna, czego wyrazem może być tak zwany różaniec, przy którym chcę trochę dłużej się zatrzymać.

W pierwszą niedzielę po pierwszym każdego miesiąca schodzą się do jednego domu, osobno dziewczęta, osobno kobiety, osobno mężczyźni, a nawet w pewnych okresach i chłopcy i odmawiają różaniec.

Ja bynajmniej nie chcę uczyć szanownych koleżanek i kolegów tej modlitwy, chcę tylko podzielić się myślami, które mi nasunęło jej zakończenie, a którego raz byłem mimowolnym świadkiem.

Było ono następujące:

pojedynczy głos mówi: np. „Za duszę Wojciecha i Katarzyny”..., a wszyscy trzy razy „Zdrowaś Marja” i raz „wieczny odpoczynek”.

I tak modlą się za wszystkie dusze, jakie kto sobie przypomina. Zaś potem pojedynczy głos mówi: „Za Kościół święty Katolicki, a reszta znowu trzy „Zdrowaś Marja”.

Za Ojca Świętego... reszta trzy „Zdrowaś Marja”.

Za biskupa djecezji reszta " " "

Modlitwa kończy się apostrofą i prośbą o błogosławieństwo.

Słuchając jej, myślałem o różnych rzeczach. Po ukończeniu wszedłem do pokoju (był to różaniec mężczyzn) i pierwszego z brzegu pytam: „Modlicie się za Kościół św., za Ojca św., biskupów, dlaczego ani jednej zdrowaśki nie zmówicie za rodzoną matkę, Ojczyznę, przecie ona was karmi, chroni od nędzy?...”

Chłop, tak obcesowo zapytany, nie zrozumiał z początku. Stęknął: Aa?... a po chwili: „Za matkę?... Za Polskę?... Rzeczywiście za nią się nie modlimy...” Mówię dalej: „Narzekać ciągle, ale nigdy nie życzyć jej pomyślności! „A... tak... tak...”, zaczęli się odzywać, „ale my myśleli, że od tego

jest rząd coby dbał o Polskę. Nam nikt nie powiedział, że i my możemy tu coś zrobić”.

Poruszeni byli do żywego. Nie mogli zdać sobie sprawy z tego, co się w nich działo, ale że się tam coś działo, czuli doskonale. A mnie, patrząc na nich, przypomniała się baśń o śpiących rycerzach i słowa Tetmajera włożone w usta gazdy góralskiego: „Kto wie, czy tą skałą, w której śpią zakłęci rycerze, nie jesteśmy my! Chłopi!”

Dlaczego to mówię w „Młodej Myśli”, sam nie wiem dobrze. Wiem tylko, że wsie są bardzo podobne do siebie i że te wsie będą terenem naszej pracy w przyszłości.

Emil Radziszewski.

Poranek w internacie.

Powoli ustępowała cicha i spokojna noc.

W internacie spokój, tylko od czasu do czasu ktoś się porusza w łóżku lub głośniejszym zachrapie i znowu cisza.

W pewnej chwili unosi się głowa przodownika, który skierowuje swój wzrok na zegarek, leżący na stoliku, ażeby zbadać, która godzina. Już czas; więc pocichu wstaje i wychodzi do umywalni, aby się ubrać, a potem zrobić pobudkę.

Naraz z wielkim hałasem otwierają się drzwi sypialni, staje w nich wyelegantowany mistrz ceremonji i klaszcząc w dłonie, woła: „Pobudka! Panowie pobudka!” a za chwilę: „Wstawać i wychodzić na gimnastykę”. Niektórzy podnoszą się leniwie z pościeli, a innych zaś trzeba ściągać, gdyż sami nie mogą się zdobyć na to, aby wyskoczyć z łóżka.

W tym zjawia się p. Wychowawca z buteleczką zimnej wody. Proszę nie myśleć, że to woda do picia, albowiem służy ona do skrapiania tych, którzy się wylegają. Dzieje się to zwykle tak: kołdra z danego osobnika zostaje ściągnięta i wówczas doświadcza on na sobie niemiłego skropienia zimną wodą. Po takim eksperymencie zrywa się jak oparzony, by za chwilę wsunąć się zpowrotem pod kołdrę. W tym samym czasie, gdy on już leży spokojnie,

ktoś inny ma możność dostąpić tego zaszczytu. Ale za chwilkę muszą obydwaj wstać i wyjść na ranną gimnastykę. Marynarki, kamizelki i inne ubiory, niezabrane ze stolików i sypialni, przenoszą się na stoły, znajdujące się na korytarzu, ale jakim sposobem, tego nie wiem.

Ale najgorzej chyba jest z gimnastyką, na którą prawie wszyscy niechętnie uczęszczają i umykają z niej, o ile tylko się da. To też nic dziwnego, że niektórzy ćwiczą w paltach, w marynarkach, często w krawatach, a rzadko który jest w kostjumie gimnastycznym. Co do samego ćwiczenia nie można nic zarzucić: jedną ręką ćwiczy, a drugą trzyma w kieszeni, albo na jedną nogę wkłada bucik, a drugą robi wyrzuty nóg w przysiadzie.

Ale jakże inaczej dzieje się wtedy, gdy gimnastykę prowadzi p. Wychowawca; giną gdzieś palta, marynarki i buciki, a każdy wykonuje ćwiczenia jak najstaranniej.

Przodownik zaś wykrzykuje raz po raz doniosłym swym, pełnym majestatu głosem nazwiska, na które otrzymuje między innymi takie odpowiedzi: „Jestem”, lub też „obecny, ale nieprzytomny”.

Czasem się zdarza, że prowadzący nie może doprowadzić ćwiczeń do końca, gdyż wszyscy co do jednego nie zyczą sobie tego lub innego ćwiczenia i gromadnie suną do umywalni. W takich wypadkach następuje to, że prowadzący denerwuje się, przerywa ćwiczenia i udaje się z głośnemi wymówkami do przodownika: „Ja jutro gimnastyki nie prowadzę! Niech się co chce dzieje! Mam tego już dość”, a przodownik z powagą odpowiada: „Jutro będzie lepiej, zorganizujemy inaczej”.

Tymczasem w umywalni panuje wielki ruch; jedni czyszczą buciki, inni myją się nietylko w koszuli, ale nawet w marynarce, gdyż, jak twierdzą, nie chcą rozbierać się z tego powodu, że jest okropne zimno w umywalni, a co gorsze i w samym internacie.

Ale zato przy ubieraniu się czynią wielkie rekordy, bo w przeciągu kwadransa zdążą tylko zawiązać krawat, a resztę ubioru wkładają, że tak powiem, piorunem, bo już dzwonek wzywa dyżurnych do stołówki.

Co prawda są oni już tam od pięciu minut, ale do kuchni nie wchodzi, bo wiedzą, że kawy nie dostaną przed dzwonkiem.

W takim razie co ich tam tak wcześniej pędzi?

Otóż przekonałem się.

Jedynym ich celem są filiżanki, które pospolicie noszą nazwę „szczyt marzeń”. „Szczyt marzeń” jest to filiżanka z uszkiem i ze złotą obwódką dokoła brzegów.

Aż oto odzywa się drugi dzwonek, wzywający na śniadanie. Na głos jego wszyscy interniści dążą na wspólny posiłek.

J. K. IV m.

Więcej optymizmu!

Niema chyba kraju, któryby nie odczuł skutków kryzysu gospodarczego? Zapanował on wszechwładnie. Prasa ciągle podaje wykazy rozrastania się kryzysu i ciągle widzi się na szpałtach dzienników statystyki bezrobotnych, których liczba ciągle wzrasta, a którzy najbardziej odczuli ciężary jego. Praktycy i teoretycy życia szukają rozwiązania tej, tak trudnej kwestji.

Do walki z kryzysem, który jest przyczyną tak wielkiej nędzy kilkumiljonowej rzeszy ludzi, a w szczególności klasy robotniczej, stanęli wszyscy, poczynawszy od Rządu R. P., polityków, poprzez sfery przemysłowe, a skończywszy na akcji doraźnej całego narodu, zorganizowanego w różne komitety do spraw bezrobocia. Wszyscy radzą, jak mogą, aby choć częściowo złagodzić skutki kryzysu.

Gdzież jest przyczyna kryzysu? Jest ich wiele. Należy wymienić takie, jak: nadprodukcja z poprzednich lat, która napełniła magazyny i składy i wreszcie brak rynków zbytu. Fabryki, zmuszone ograniczyć swoją produkcję, musiały przeprowadzać redukcję personelu, co powiększyło kadry bezrobotnych. Bezrobotni, znalazłszy się w trudnych warunkach materialnych i pamiętając o oszczędnościach we wszystkim, przestali być nabywcami fabrykatów. Dziś, kiedy ceny niektórych fabrykatów spadły o 50%, ludzie są tak wyczerpani finansowo, że znów nie mogą stać się mocno aktywnymi nabywcami.

Produkcja krajowa obecnie musi liczyć na konsumenta

wewnętrzny, bo wszystkie państwa stanęły na punkcie samowystarczalności, a chcąc ochronić się przed zalewem towarów obcych, ustanowiły barjery nie do przebycia w postaci wysokich stawek celnych. Konsument krajowy, nie mogąc być całkowitym odbiorcą fabrykatów, staje się przyczyną nadprodukcji.

Do walki z kryzysem stanęli wszyscy, więc i młodzieży nie powinno zabraknąć w tych szeregach.

Bronią naszą w tej walce będzie tylko optymizm: a więc wiara w „lepsze jutro”, bo należy stwierdzić, że brak tej wiary w walce z kryzysem, przedłuża go. Ludzie ogarnięci nawskroś pesymizmem wpadają w rozpaczliwą determinację i w tym stanie czekają biernie tego „jutra”, które zgóry jest przewidziane, jako jeszcze gorsze od dnia dzisiejszego.

My winniśmy stać się realizatorami hasła „miłości bliźniego”. Wszystkie poczynania nasze muszą być nacechowane ciepłym optymizmem słonecznego jutra. Wiara, że przecież kryzys może się skończyć, może ocalić dotkniętych skutkami kryzysu, od głuchej a rozpaczliwej determinacji i pesymizmu.

Więc wierzymy, że „jutro” będzie inne, lepsze, bardziej słoneczne i radośne. Starajmy się szerzyć optymizm lepszego „jutra” wszędzie gdzie tylko go brak, a przede wszystkim w swoich rodzinnych środowiskach. Musimy zarażać wszystkich optymizmem, tem samem pobudzając do nowego życia, do skutecznej walki z kryzysem.

My sami powinniśmy stanąć na czele, głosząc hasło: „Zwycięstwo z nami”.

Ek. Owicz.

Sanna.

Dwoneczki dzwonią, koń parska w biegu
A z pod płoz smuga lśniąca ucieka;
A sanie rażno mkną w dal po śniegu,
Bo przed nami droga daleka,
Bo czeka na nas dal tajemnicza,
Co rączy koniom skrzydeł uczęca.

Czasem się zjawia chatyny siola,
Na horyzoncie las zamajaczy,
A zresztą cisza z pustką dokoła
I wiatr co zda się, na nic nie baczy.
I tylko śnieżne, het, wzbija pyły
I zaspy sypie jakby mogiły.

I mkną saneczki jakoby strzała,
Z pod kopyt konia śnieg wzwyż się wzbija
Lasy i wioska wdali została
A oto jakiś zaprząg nas mija —
Aż para bucha nozdzami koni
I... jeno wdali dzwoneczek dzwoni.

J. D. III m.

Z moich wspomnień przyrodniczych.

Lubię ptaki, lecz nie te uwięzione wśród prętów klatki i zwolna gasnące w tęsknocie za bezmiarem pól i lasów, jeno wyhodowane z pisklęcia, które tak przywiązują się do człowieka, że na każdym kroku darzą go dowodami swego przywiązania.

Przed kilku laty, w czasie wakacyj, znalazłem w dziupli w starym złomie świerkowym gniazdo dzięciołów średnich, pstrych, a w niem czworo piskląt jeszcze niedołącznych.

Latorośle rodu dzięciołów były tak rozkrzyczane, że w odległości dziesięciu kroków słyszałem gwar i to je zdradziło.

Plan działania miałem już opracowany:

Wspiałem się po sękach, kruszących się pod naciskiem stopy, do wysokości dziupli i szczyrykiem mozolnie poszerzyłem otwór tak, że mogłem swobodnie wsunąć rękę i wyjąć jedno małe. Okropnie szkaradne i niezdarne stworzenie.

Kilkanaście zaczątków piór, oczy jeszcze zamknięte, dziób otwarty — to obraz pierwotny mego wychowanka.

Domownicy z uśmiechem niedowierzania kiwali głowami nad mą niepraktycznością, twierdząc, że dzięcioł nie nadaje się do hodowli, że daremne będą moje starania, zresztą poco hodować, jeśli nie jest jadalny.

Nie przekonały mnie te argumenty.

Karmiłem go obficie różnymi frykasami: larwami, twarogiem, owadami i jajami na twardo, więc szybko wzrastał.

Po pewnym czasie było mu za ciasno, niewygodnie przesiadywać w skrzynce w ciągłym bezruchu, wobec tego usiłował wyemigrować w poszukiwaniu nowej sadyby i urządził wędrówki po zakamarkach pokoju.

Przeniosłem go wtedy do klatki własnoręcznie zbudowanej, umieszczonej na werandzie leśniczówki i tu przebył kilkanaście dni do zupełnego okrzepnięcia.

Gdy zjawiałem się na ganku, to Maciuś, tak go nazwałem, ujrawszy mnie, przybiegał do prętów klatki, trzepotał skrzydełkami, i krzyczał — cieszył się, że mię widzi.

Wkrótce edukację jego uznałem za skończoną — zdecydowałem się dokonać obrzędu wyzwolin.

Rankiem nakarmiłem go dowoli, wstawiłem czystej wody i sam, zostawiwszy drzwiczki klatki otworem, stanąłem na uboczu i patrzyłem pilnie.

Maciuś, nie zważając, że droga w świat stoi mu otworem, zajął się przedewszystkiem swoją toaletą: oczyścił dziób z resztek jedzenia, wygładził piórka.

Po chwili wdrapał się na sęczek umieszczony w klatce, kilkakrotnie uderzył dziobem w drewno, zeskoczył nadół, usiadł w drzewkach klatki i... wyleciał.

Zatrzymał się na pobliskiej gruszy i tam wyprawiał samotne harce, potem odleciał dalej.

Trochę niespokojny poszedłem do mieszkania.

Gdy słońce już skłoniło się ku zachodowi, wróciłem do ogródka i krzyknąłem kilka razy: „Maciuś! Maciuś!”.

Jak kula spadł z sąsiedniego drzewa na me ramię, skoczył na piersi i, zgłodniały po całodziennym poście, krzykiem, ruchem domagał się jedzenia, otwierając dziób nad podziw szeroko.

Miał wyśmienity apetyt — nieprędko nasycił się.

Byłem mocno wzruszony: patrzyłem wprost z miłością na drobną ptaszynę i mówiłem pieszczotliwie: „Maciuś! Maciuś”.

Usiadłem na ganku, posadziłem Maciusia na balustradzie i trwałem w milczeniu, a on, zwróciwszy się w moją stronę, coś gaworzył swą ptasią mową.

Wyczuwałem w tych dźwiękach zapewnienie przywiązania i podziękę za opiekowanie się w okresie niemowlęctwa.

Zdawało mi się, że dwa serca: ludzkie i ptasie biją zgodnym rytmem i czują jednakowo, że bliska spełnienia prawdziwa klechda o pokoju między wszelakiem stworzeniem.

Był to nadzwyczajny czyścioch, bo codziennie, z wyjątkiem dni słotnych, zimnych, wlaził do miednicy z wodą i tam kapał się.

Bił skrzydełkami o powierzchnię wody, wreszcie przemoczony „do nitki” wlaził na sęczek ustawiony w klatce i tu, wstrząsnąwszy się kilka razy, drzemał do zupełnego wyschnięcia.

Sprawiałem mu niezmierną uciechę, przynosząc z lasu kawałki drzewa toczzonego przez larwy.

Silnem uderzeniem dzioba dobywał i zjadał z nadzwyczajnym apetytem.

Mrówki spożywał mniej chętnie, w małych ilościach, widocznie nie uważał kwasu mrówczanego za dobrą przysmak.

Nocował zazwyczaj w klatce, ale musiałem asystować przy układaniu się na noc, bo w przeciwnym razie odlatywał na drzewo i tam noc przepędzał.

Budził się wczesnym rankiem, zaledwie ukazywało się słońko i rozpoczynał pracowity dzień.

Podlatywał do okna, siadał i zaglądał do wnętrza.

Zniecierpliwiony tem, że nikt doń się nie zbliżał, uderzał w szybę, a te uderzenia były tak silne i częste, że przypominały bębnienie w bębnek.

Hałas ten był słyszany w całym domu, więc budziłem się i szedłem wydać Maćkowi pierwsze śniadanie.

Uniknąłem potem tego porannego niepokoju w ten sposób, że pokarm pozostawiałem w klatce.

Maciuś nie zrezygnował ze swych wizyt, ale teraz zachowywał się spokojnie i zerkał ciekawem okiem do pokoju.

Czasem zupełnie niespodziewanie zlatywał z drzewa i siadał na ramiona, plecy, piersi.

Głowę uważał też za dosyć wygodny punkt do lądowania.

Przyznać się muszę, że pomysł czynienia z mej głowy lotniska niezbyt mi się podobał.

Perswadowałem mu, że powierzchnia lądowania musi bezwzględnie ulec zmniejszeniu, co nie trafiało mu przez dłuższy czas do przekonania.

Idylla ta trwała do jesieni!

Maciuś zapoznał się z dzięciołem innym, dzikim i widziałem nieraz obydwóch, gdy siadywali na drzewie i bawili się w chowanego.

Rozpoczynali gonitwę, starając się znaleźć po przeciwnych stronach pnia, przerywaną zerkaniem — robieniem oczka.

Mniej teraz przebywał ze mną, aż któregoś dnia nie doczekałem się jego przylotu na nocleg.

Maciuś odleciał do lasu, bo małą ciemną duszę ptasia ogarnął jakiś lęk przed człowiekiem.

Teraz po kilku latach, mimo że Maciuś usłuchał głosu krwi i wrócił do siedlisk swego rodu, jednak więcej wierzę mu i wszystkim stworzeniom niż ludziom, bo ci „fratres minori” umieją żyć się z człowiekiem, a jeśli opuszczają, to nie z egoistycznych pobudek, jeno pod wpływem nieprze-

zwycięzonych wołań. Pozostawiają po sobie jasne wspomnienia, jasne myśli, z których czerpie się pokrzepienie w chwilach bezradości.

Kiedyś, po dzisiejszym okresie pozytywnego i ciasnego materializmu, zdobywającego pogląd na świat zapomocą naszych niedoskonałych zmysłów, nadejdzie era serc i ducha, i wtedy dusza zwierzęcia przemówi do poszukiwaczy prawdy zrozumiałą mową, bo odszuka się głos wspólny dla wszystkich, wyszłych w zamierzonych czasach z jednego źródła.

Wejrzymy w księgi „Weddy” i „Bhagarad Goza”, posłuchajmy Pythagorasa i św. Franciszka z Assyżu!

To chyba są „prawdy żywe”, ale nie przez wszystkich uznawane, głoszone przez garstkę.

Słuchajmy, co one mówią.

Sławicz.

NADESLANE.

Choinka.

To, co wam, Koleżanki i Koledzy, opowiem jest jednym z najjaśniejszych momentów w pracy nauczycielskiej. Jest momentem, który daje siły do wytrwania, który pozwala zapomnieć o własnych cierpieniach i bólach, a żyć radością innych. Oczekujemy zwykle w pracy naszej rzeczy wielkich, zdaje się nam, że „dźwigniemy z posad bryłę świata i nowemi ją pchniemy tory”. Niestety! Jakże często spotyka nas rozczarowanie i zawód, a za niemi w ślad idą niechęć do pracy i rozgoryczenie. Dlaczego? Zawiele chcieliśmy. Nie potrafililiśmy z rzeczy małych, mniej efektywnych, czerpać siły do dalszej pracy. Praca nasza wymaga codziennych wysiłków, których wyniki rzadko oglądamy; jeśli widzimy, wydają się nam one zbyt małe, niewspółmierne w stosunku do naszej pracy. Pracować jednak trzeba. Pracować z pogodą w duszy i na twarzy. A skąd ją czerpać? Trzeba umieć widzieć rzeczy małe, które też składają się na dorobek naszej pracy i dalej wciąż do nich dorzucać nową cegielkę. Wówczas praca nasza będzie tą, o której mówi Konopnicka: „Na własne mroki najlepszą pociechą zapalać światła pod ubogą strzechą”.

— Czy będzie w tym roku choinka? — z ciekawością i niepokojem dopytywały się moje dzieciaki. Czy będzie? Problem trudny do rozwiązania. Kryzys! Gmina na ten cel nic nie daje, od rodziców trudno się czegoś domagać, kiedy często nie chcą kupić dziecku zeszytu lub ołówka. — Nie wiem jeszcze, dzieci. Omówię tę sprawę z p. Kierowniczką, potem wam dokładnie opowiem. — Małeństwa smutnie opuszczają główki. „Żeby była, żeby była!” słyszę ciche głosiki.

Radosny rozgwar w klasie. Choinka będzie! Stos kolorowej bibułki piętrzy się na stole, błyszczą gwiazdki. Tak choinka będzie — zdecydowałyśmy urządzić ją same. Będzie skromna, ale dzieci się ucieszą.

Dzieciaki z zapałem kleją zabawki: łańcuszki, koszyczki, szopki, parasolki i inne kolorowe „cudeńka”. Nie wystarcza nam lekcji. Zapraszam dzieci na wieczór do siebie. — Kiedy przyjść, proszę pani? — pytają. — Kiedy już będzie ciemno. — Po ukończeniu popołudniowych zajęć wracam do domu. Ledwie zdążyłam usiąść do obiadu, słyszę pukanie. Wchodzi gospodyni. — „Proszę pani, oni już przyszli i czekają w kuchni. — Kto? — Dzieci. Mówią, że już w kuchni będą czekały, takie są ciekawe, co będą robiły wieczorem”.

Wyciągam stół na środek, ustawiam lampę, dostaję papier. Dzieci siadają w krąg na krzesłach i taboretach. Dobywają nożyczki (niektóre takie duże, do strzyżenia owiec). Robimy czapeczki dla krasnoludków, potem szopki. Dzieci skupione, poważne. Każde stara się jak najlepiej wykonać swą pracę. Na zakończenie śpiewamy kolendy — przy słowach „cierp, cierp, cierp miły panie, póki ten mróz nie ustanie” — dźwięczy wesoła kaskada śmiechu. Muszę dopiero im wyjaśnić, że przy choince będziemy musieli śpiewać to poważnie.

Czas płynie szybko. Dzieci umieją już sporo kolend, umieją kilka deklamacji. A uczą się z zapałem, bo to przecież „na choinkę”.

Szary styczniowy dzień. Wicher hula po polach, na których świecą tafle lodu. Szary ten dzień, ale wcale nie smutny. W dużej sali zebrały się dzieci. Choinka już ubrana. Sala przegrodzona ustawionymi w rząd ławkami. Po jednej stronie, przy choince dziatwa, po drugiej — rodzice.

Okna zasłonięte kocami. Dzwonek. Koleżanka zapala na choince świece. Dzieci śpiewają kolendę „Lulajże Jezuniu”. Wśród, rozgwarzonych dotychczas, widzów cisza. Wszystkie dzieci śpiewają teraz „Wśród nocnej ciszy”. Krótko przypominam dzieciom moment składania darów przez pastuszków i trzech Mędrców, bo to jest dzień Trzech Króli. I płynie kolenda za kolendą, przeplatana deklamacjami solowymi i chóralnymi.

Nakońcu inscenizacja wierszyków: Jaś i Kasia wybierają się do miasteczka „kupić sobie kukieleczek”, zbójcy (z większymi od nich brodami i buławami) napadają na kupca i dzieci; w takt piosenki „pojedziemy na łów” charty gonią zającą, sarnę, sobola i pannę. Twarze dzieci rozradowane, uśmiechnięte. Śmieje się też choinka, jarząca od świec i ognia. Patrzą na nią z zachwytem szeroko rozwarte, dziecinne źrenice. One tak mało widzą w życiu rzeczy jasnych i dobrych. A tam w gromadzie rodzice. Czasem wybuchnie śmiech głośny, czasem ciche westchnienie. Coś myśla, coś czują. Może niejednego ta chwila przekona do szkoły. A tu już krakowiak. Rażno migają pary.

„Krakowianka jedna
Miała nóżki z drewna,
A rączęta z wosku —
Wszystko po krakowsku...!

Zmęczone dzieci zaraz się rozejdą do domów. Dostają teraz po kilka ciastek. (Część ich upiekła koleżanka część ja. Trochę z tem były kłopotu, ale już się o tem zapomniało.) Wśród dzieciaków przeciska się jakaś kobieta. Za rękę trzyma małą, może czteroletnią dziewczuszkę. — Proszę pani, ona koniecznie chce powiedzieć wierszyk. Nie mogłam jej zatrzymać — wyjaśnia. — Dobrze, powiedz, decyduję szybko. Mała rozgląda się dokoła. Widzi, że dzieci nie uważają, zajęte czem innym. Nie wzrusza to jej jednak zbytnio. Staje koło choinki, na której dopalają się ostatnie świece. Przyklekam przy niej. Przecież ktoś wśród tego gwaru musi słyszeć, co ona mówi. Dziewczynka głośno, zupełnie poprawnie mówi znany wierszyk „Wer, wer Burek”. — Slicznie, słicznie wołam, po skończonym popisie. Prowadzę małą do koszyczka z ciastkami i częstuję ją niemi. Matka stoi dumna ze swej córeczki i opowiada o tem, „jaka to ona ochetna do nauki”.

Jasny wieczór. Mróz objął panowanie nad uśpioną ziemią. Na niebie błyszczą tysiące gwiazd. Duszę mą przepelnia dziwne zadowolenie i spokój. Wracam do swej wsi. Zdaje się, że gdzieś sosny grają radosną pieśń wiosenną, że woda z szumem płynie przez pole. Czemu? Czy słusznym jest to zadowolenie? Czy moja praca coś znaczy? Czy dobrą idę drogą? Czy dzieci te w ten wieczór w duszach swych czuły pełnię życia?

Marja Jurewiczówna.

Tematy artykułów do pisemka.

- Kurs I ż. i m. 1) Co lubię w pisemku.
" II ż. i m. 1) Czego brak w naszym pisemku.
" III ż. i m. 1) Co najbardziej lubią nasze koleżanki i koledzy.
2) Wrażenia z naszej czytelnicy (dla śmiałości).
" IV i V ż. i m. 1) Kiedy jest pożądana opozycja w naszym społeczeństwie, a kiedy niepożądana.
2) Przy jakich warunkach będzie się pisać artykuły z potrzeby wewnętrznej.
3) Jaka jest różnica pomiędzy artykułem napisanym z potrzeby wewnętrznej, a artykułem napisanym z musu.

Redakcja.

Starostwo Grodzkie Białostockie

Egzemplarz obowiązujący

Nakład 500 egz.

Dnia 23/IV 1932

ODBITO
w
POLSKICH ZAKŁADACH
GRAFICZNYCH
„DZIENNIK BIAŁOSTOCKI”
LEGJONOWA 1
w
BIAŁYMSTOKU.